

**Od autora:** fragment wspomnień

---

(...) Postawienie kolegom kolejki w knajpie z pierwszej wypłaty to obowiązek wynikający z kultury czy niezbyt przyjemny mus? Nieważne, w kupne musiało być. „Nadejsza wiekopomna sobota”. Już w piątek uprzedziłem domowników. Wystarczyło powiedzieć rodzicielce, gdyż matki zawsze pozostają matkami, niezależnie ile człek już lat dźwiga na grzbiecie i co porabia.

– Mamo, jutro wrócę chyba późno. Wiesz, pierwsza wypłata u elektryków... Muszę chłopakom postawić.

– A wrócisz na własnych nogach? Czy mam tatę po ciebie wysłać? – Rodzicielka uśmiechnęła się lekko i westchnęła. – Nie macie w sobotę meczu?

– Nie. Dopiero za tydzień. Tatę?! Mamo, czy kiedyś...

– Wiem, wiem. Tylko klucze weź, nie budź wszystkich, jak wrócisz. Czy może mam czekać?

– Mamoo... – Teraz ja się lekko uśmiechnąłem. – Naprawdę nie jestem już dzieckiem. Nie zgubię się i nie czekaj. Trafię.

Knajpa znajdowała się na rogu ulic Kwiatowej i 15 Grudnia, nazywała się „Mir”. Nie była zbyt daleko od domu, zaledwie dwa kilometry z okładem. Nie wiem, czy nazwa pochodziła od miru, znaczy renomy, jaką się cieszyła w lekko szemranej okolicy, czy też od rosyjskiego słowa „pokój”. Kwiaty na ulicy Kwiatowej nie rosły od powojnia, pokojową okolicą też trudno było ją nazwać. To jednak nie zaważyło na wyborze miejsca. Wola szefa jest święta, a majster Czajkowski osobiście mi zasugerował, który lokal jest właściwy na pierwszy poczęstunek. Całkowicie zdałem się na jego doświadczenie w wyborze knajpy, w której miałem przetracić część wypłaty. Właściwie nie miała to być strata, tylko ofiara jak najbardziej wskazana – na integrację z grupą. To był zbożny cel!

W sobotnie popołudnie wszedłem w gościnne progi lokalu. W drzwiach na chwilę zatrzymałem się i odwróciłem. Przypomniałem sobie nie tak dawne zdarzenie ze szkoły średniej – przecież prawie w tym samym miejscu profesor Dzik podejrzewał mnie o nienoszenie tarczy szkolnej. Uśmiechnąłem się. „Ech, dobre to były czasy” – westchnąłem na samo wspomnienie. Teraz już byłem dorosły i nie musiałem się martwić, jak ukryć tarczę i jednocześnie mieć ją na podorędziu w razie nagłej potrzeby, jaką było chociażby pojawienie się na ulicy profesora Dzika. Dzisiaj mogłem już jawnie wejść do baru z wyszynkiem. Dobrze, koniec rozpamiętywania minionych czasów, teraz czekała mnie nowa próba dozwolona tylko dla ludzi pracy.

Załoga elektrycznego warsztatu zaraz obstawiła wysoki stolik dla stojących klientów. Krzesła nie były potrzebne, za podpórki służyły nam własne łokcie. Podeszedłem do lady barowej.

– Dzień dobry. Po setce dla każdego – zadysponowałem dziarsko u barmanki. Starąłem się nadać brzmieniu mego głosu intonację stałego bywalca podobnych lokali.

– A do tego? – Barmanka przestała wycierać szklankę i odstawiła ją na blat.

– Co do tego? – Zdezorientowany, machinalnie zapytałem.

– Zakąska musi być. – Wzruszyła ramionami, zniecierpliwiona głupim pytaniem. – To, co normalnie?

– Aa... Tak, to, co normalnie.

– Już podaję.

Barmanka знаła swój fach. Nie minęła minuta, a na naszym stoliku wylądowała taca z dwudziestoma kieliszkami „pięćdziesiątek”. Za chwilę doniosła na talerzyku to, co normalnie – widelczyk i dziesięć małych kawałków śledzika z cebulką. Po jednym na każdego z nas. Spojrzałem na tę furę jedzenia, przełknąłem ślinę i zadysponowałem ponownie:

– Niech pani jeszcze przyniesie tego śledzia, tyle samo. Aha, i chleba.

– Młody, coś ty taki rozrzutny? – wtrącił się majster. Podniósł rękę i poprawił:

– Wystarczy chleb – zwrócił się do barmanki.

– No to, młody, oby tobie i nam się... – Wzniósł do góry kieliszek.

„Oby!” – odpowiedzieliśmy dziewięciogłosem. Szef pierwszy stuknął swoim kieliszkiem w mój, a następnie po kolei wszyscy z kolegów. Przełknąłem bezbarwny płyn, zapiekło. Wziąłem widelczyk i dziabnąłem nim w śledzika. Majster momentalnie położył rękę na mojej dłoni:

– Zdzisiek, masz za dużo forsy? Śledzik musi być, jakby kontrol wpadła. Będziesz nową zakąską zamawiał?

– Aa... Ale chciałbym przegryźć. Chleba mogę?

– Chleba możesz. – Uśmiechnął się, łaskawie pozwalając na taką niezbyt wielką rozrzutność.

– Szefowo! – krzyknął do barmanki. – Dzbanek z mineralną!

– Już się robi, panie Czajkowski! – odkrzyknęła.

„Ho, ho, widać że majstra tu dobrze znają...” – przeleciała mi przez głowę myśl. Tęsknie spojrzałem na talerzyk. Śledzik kusił, zachęcał do skubnięcia... „Ale szef to szef! Dba o nowych, aby zbyt dużo nie wydali na wkupne. Udało mi się, trafiłem na dobrego!”

*cdn.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 21.07.2019 21:49

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).